



PAUL HEYSE

---

# L'Arrabbiata

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



PAUL HEYSE

# L'Arrabbiata

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

Słońce nie wzeszło jeszcze. Ponad Wezuwiuszem<sup>1</sup> wisiała mgła, ciągnąca się szeroką smugą w kierunku Neapolu<sup>2</sup> i otulająca małe miściny pobraża. Morze milczało. Mimo to przystań pod wysokim sorrentyńskim<sup>3</sup> wybrzeżem skalnym, w ciasnej zatoce położona, zaczynała się już roić ludźmi. Rybacy wraz z żonami holowali do brzegu na linach łodzie pełne sieci, wyrzuconych w morze na połów nocny. Inni sposobili barki do drogi, opatrywali żagle oraz znosili wiosła i reje z wielkich, w skałę wykutych, kratami zamykanych magazynów, gdzie przybory żeglarskie chowano na noc. Nikt nie próżnował, bo nawet starcy, niewypływający już na morze, włączyli się w długi łańcuch tych, którzy wyciągali z wody ogromne włoki<sup>4</sup>, a tu i ówdzie na płaskim dachu stała staruszka z wrzecionem albo babunia zajęta była wnukami, podczas gdy córka pomagała mężowi.

— Patrz, Rachelo, to nasz *padre curato*!<sup>5</sup> — powiedziała jedna ze staruszek małej dziesięcioletce, stojącej obok niej z wrzecionem w dłoni. — Właśnie wsiada do łodzi. Antonino zawiezie go na Capri<sup>6</sup>. *Maria santissima*<sup>7</sup>, jakże zaspaną ma minę czcigodny *padre*<sup>8</sup>. — Posłała ręką pozdrowienie księdzu małego wzrostu, a wesołego oblicza, który rozsiadł się właśnie w barce, podkasując sutannę i układając ją potem starannie na drewnianej ławie. Ludzie, zajęci na wybrzeżu, przestali na moment pracować, by przyjrzeć się odjazdowi księdza, który słał na wszystkie strony ukłony i uśmiechy.

— Po cóż on jedzie na Capri, babuniu? — spytało dziecko. — Czy oni tam nie mają plebana, że muszą sobie od nas pożyczać?

— Nie bądźże głupia! — odparła starowina. — Mają dość ślicznych kościołów i księży, a nawet mają pustelnika, jakiego nam brak. To sprawa inna. Uważasz, pewna dostojna *signora*<sup>9</sup> mieszkała tu długi czas w Sorrento, a tak była chora, że *padre* musiał często chodzić do niej z wiatykiem<sup>10</sup>, bo nieraz obawiano się, że nie przeżyje nocy. Otóż Najświętsza Paniienka uzdrowiła ją, tak że stała się na nowo świeża i żwawa i mogła się codziennie kąpać w morzu. Gdy wyjeżdżała stąd na Capri, podarowała całą kupę dukatów<sup>11</sup> kościołowi i biednym i nie chciała się ruszyć, póki jej *padre* nie przyobiecał, że będzie jeździł do niej, ile razy zechce się spowiadać. Ceni go niesłychanie i czci, a my możemy czuć się szczęśliwi, posiadając plebana, który mógłby być arcybiskupem i o którego dobijają się wszyscy wielcy panowie i panie. Niechże go strzeże Madonna! — Powiedziawszy to, posłała pozdrowienia w kierunku barki, odbijającej właśnie od brzegu.

— Czy będziemy mieć pogodę, mój synu? — spytał mały księżulek przewoźnika, spoglądając podejrzliwie ku Neapolowi.

Morze, Praca

Książd, Choroba

<sup>1</sup>Wezuwiusz — wulkan na terenie Włoch, na Półwyspie Apenińskim, nad Zatoką Neapolitańską. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Neapol — miasto w pld. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Sorrento — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>włok — sieć do połowu ryb dennych. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*padre curato* (wł.) — ksiądz proboszcz. [przypis redakcyjny]

<sup>6</sup>Capri — włoska wyspa na Morzu Tyrreńskim w Zatoce Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Maria santissima* (wł.) — Matko Najświętsza. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup>*padre* (wł.) — ojciec, tu: ksiądz. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wiatyk — w Kościele katolickim komunია udzielana umierającemu. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>dukat — złota moneta, używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

— Słońce jeszcze nie weszło — odrzekł chłopak — ale da sobie radę z tą odrobiną mgły, myślę.

— Ano, to ruszajmy, by przybyć przed upałem.

Antonino chwycił długie wiosło, chcąc zepchnąć barkę na głąb, ale nagle zatrzymał się i spojrzal w górę, ku skalistej, stromej drodze, wiodącej z miasteczka Sorrento do przystani.

Na drodze ukazała się dziewczyna, skacząca żwawo z kamienia na kamień i powiewająca chustką. Pod pachą niosła zawiniątko, a odzież jej była dość uboga. Mimo to dostojnym, dzikim nieco gestem odrzucała głowę wstecz, a czarne warkocze, otaczające jej czoło, tworzyły coś w rodzaju diademu.

— Na cóż to jeszcze czekamy? — spytał *padre*.

— Nadchodzi jeszcze ktoś, kto pragnie dostać się na Capri, oczywiście, jeśli pozwolicie, *padre*. Nie będziemy przez to płynęli dłużej, bo to tylko młoda dziewczynina, lat niespełna osiemnastu.

W tej chwili pośród murów, brzeżących drogę, wyszła dziewczyna.

— Laurella? — zdziwił się *padre*. — Cóż ona ma do roboty na Capri?

Antonino wzruszył ramionami, a dziewczyna zbliżyła się szybko, patrząc wprost przed siebie.

— Dzień dobry, *l'Arrabbiata*<sup>12</sup>! Jak się masz? — krzyknęło kilku młodych rybaków. Byliby pewnie dodali jeszcze niejedno, gdyby nie obecność księdza, gdyż zuchwała mina i milczenie, z jakim dziewczyna przyjęła pozdrowienia, drażniły swawolników.

— Dzień dobry, Laurello! — zawołał również i *padre*. — Jak się masz? Czy chcesz także jechać na Capri?

— Jeżeli wolno, *padre*! — odrzekła.

— Spytaj Antonina! On jest właścicielem łodzi, a mienia swego jest każdy panem, podobnie jak panem nas wszystkich jest Bóg.

— Masz pól karlina<sup>13</sup>! — powiedziała Laurella do młodego rybaka. — Czy wystarczy na opłatę?

— Przyda ci się bardziej niż mnie! — mruknął chłopak, odsuwając kosze z pomarańczami i robiąc miejsce. Wiózł owoce na sprzedaż, gdyż skalista wyspa Capri nie rodzi tyle, by wystarczyło dla licznych przybyszów z całego świata.

— Nie chcę jechać darmo! — odparła, a spod czarnych brwi strzeliły błyskawice.

— Dajże spokój, dziecko! — rzekł proboszcz. — To dzielny chłopak i nie chce się bogacić tą odrobiną ubóstwa twego. No, wsiadaj — podał jej rękę — i siadź tu koło mnie. Widzisz, podesłał ci swój kaftan, by ci miękcej było. Mnie tego nie zrobił. Ach, młodzi zawsze tacy, mają więcej starania o jedną młodą dziewczynę niż o dziesięciu księży. No, no, nie tłumacz się, Tonino. Bóg tak już wszystko urządził, by swój ciągnął do swego.

Laurella wsiadła tymczasem i zajęła miejsce na ławie bez słowa, odsunawszy przedtem na bok kaftan Antonina. Młody rybak nie zabrał go, mruknął tylko coś przez zęby. Potem oparł wiosło silnie o tamę przystani i mała barka wybiegła chyżo<sup>14</sup> na wody zatoki.

— Co masz w tym zawiniątku? — spytał proboszcz, podczas gdy łódka pruła fale morza, złączące się pierwszymi promieniami słońca.

— Jedwab, przędzę i bochenek chleba, *padre* — odparła. — Mam sprzedać jedwab pewnej kobiecie na Capri, która robi wstążki, a przędzę drugiej.

— Czyś sama przędła?

— Tak, księżo proboszczu.

— O ile pamiętam, umiesz także robić wstążki.

— Tak, umiem. Ale matka moja ma się znowu gorzej, nie mogę często wychodzić z domu, a na własny warsztat tkacki nas nie stać.

— Gorzej? Och! Przecież nie leżała w łóżku, kiedyś był u was w Święta Wielkanocne.

— Wiosna to zawsze najgorszy dla niej czas. Od kiedyśmy mieli wielkie burze i trzęsienie ziemi, leży i cierpi bardzo.

<sup>12</sup>*arrabbiata* (wł.) — gniewna, wściekła. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*karlino* (wł. *carlino*) — moneta używana w Neapolu od końca XIII do początku XIV wieku, następnie przywrócona w wieku XVIII i XIX. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*chyżo* — szybko. [przypis edytorski]

— Módl się, drogie dziecko, żarliwie i prosź Najświętszej Paniienki o wstawiennictwo. A bądź dobra i uczciwa, by twe modły zostały wysłuchane.

Nastąpiła pauza, po czym ksiądz powiedział:

— Gdyś zbliziała się do wybrzeża, wołali do ciebie rybacy: „Jak się masz *l'Arrabbiata*?”  
Czemuż to zowią cię tym imieniem? Nie jest ono odpowiednie dla chrześcijanki, która winna być łagodna i pokorna.

Brunatna twarz dziewczyny oblała się rumieńcem, a oczy jej rozblizły.

— Drwią sobie ze mnie, bo nie tańczę, nie śpiewam i nie paplam bezustannie jak inne. Niechby mnie zostawili w spokoju, bom im nic nie winna.

— Mogłabyś jednak być uprzejmiejsza dla ludzi. Niech tam sobie tańczą i śpiewają ci, którym życie lżej płynie, ale dać każdemu dobre słowo to przystoi nawet temu, kto jest smutny.

Spuściła oczy i silniej jeszcze ściągnęła brwi, jakby chciała pod nimi skryć czarne swe oczy. Przez chwilę płynęły w milczeniu. Słońce blizzczało wspaniale ponad górami, krater Wezuwiusza kreślił się ostrym konturem ponad zwałem mgły, otulającym jeszcze jego stopy, a domy Sorrento, rozsiane po równi, polyskiwały bielą na tle zieleni sadów pomarańczowych.

— Czy nie masz wieści, Laurello — spytał ksiądz nagle — od owego malarza z Neapolu, który starał się o twoją rękę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przybył swego czasu umyślnie, by cię portretować. Czemużes mu odmówiła?

— Na cóż by mu był mój portret? Jest dużo piękniejszych ode mnie dziewcząt. Zresztą, któż wie, co by z tym portretem wyrabiał! Matka mówiła, że są tacy, co w ten sposób czarują, szkodzą duszy człowieka, a nawet uśmiercają.

— Nie wierz w takie grzeszne rzeczy! — rzekł poważnym głosem ksiądz. — Wszakżeś jest w rękę Boga, bez woli którego włos ci z głowy nie spadnie. Czyż człowiek z portretem w rękę mógłby być silniejszy niż Bóg? Zresztą wiedziałaś dobrze, że ci sprzyja. Inaczej nie starałby się przecież o ciebie.

Milczała.

— Czemużes mu odmówiła? Był to dzielny człowiek i piękny mężczyzna, a przy tym mógł ciebie i matkę twą znacznie lepiej i łatwiej wyżywić, niżli ty przy pomocy przedzenia i snucia jedwabiu.

— Jesteśmy biedne — zawołała porywczo — a matka chora od dawna, byłybyśmy mu przeto ciężarem. Nie nadaję się zresztą na *signorę*. Wstydzilby się mnie na pewno wobec swoich przyjaciół.

— Mów sobie, co chcesz, a ja twierdżę, że był to człowiek, co się zowie. Chciał się też przenieść do Sorrento. Nieprędko zjawi się ktoś taki, wprost z nieba zesłany, który by wam chciał przyjść z pomocą.

— Nie chcę męża, nie pójdę za mąż nigdy! — powiedziała z uporem i zapatrzyła się w dal.

— Czyś złożyła ślub lub chcesz wstąpić do klasztoru? — spytał.

Zaprzeczyła głową.

— Ludzie mają tedy rację, biorąc ci za złe twój upór, chociaż zwą cię zgoła niepięknie. Pamiętaj, że nie sama jesteś na świecie, a zaciętrzewienie twe zatruwa życie matce i czyni jej chorobę jeszcze dotkliwszą. Jakież możesz mieć powody, by odrzucać dłoń szlachetną, która pragnie wesprzeć ciebie samą i matkę? Odpowiedz, Laurello.

— Mam powód — rzekła cicho, z wahaniem — ale wyznać tego nie mogę.

— Nie możesz wyznać? Mnie nawet, swemu spowiednikowi, w którego życzliwość chyba wierzysz? A może mi nie ufasz?

Skinęła twierdżąc.

— Ulżyj swemu sercu, dziecko! — rzekł ksiądz. — Jeśli słuszność po twojej stronie, pierwszy ci ją przyznam. Ale jesteś młoda i niewiele wiesz o świecie, a w późniejszym wieku mogłabyś żałować, żeś lekkomyślnie odrzuciła swe szczęście.

Spojrzała przelotnie, lękliwie na młodego przewoźnika, który siedząc u steru, z czapką nasuniętą na oczy, wiosłował wytrwale. Spojrzenie jego utkwione było w morze, a wyraz twarzy świadczył, że zatopiony jest we własnych myślach. Ksiądz podchwycił to spojrzenie i przychylił bliżej ucha.

Portret

Kondycja ludzka, Pozycja społeczna

— Nie znaliście, *padre*, ojca mego! — szepnęła, a oczy jej błysły ponuro.  
— Twego ojca? Wszakże zmarł, o ile wiem, kiedy miałaś niespełna dziesięć lat. Cóż ma wspólnego twój ojciec, którego dusza przebywa zapewne w niebie, z twoim uporem i zapamiętałością?

— Nie znaliście go, *padre*, i nie wiecie, że właśnie on jest przyczyną choroby mojej matki.

— Czyż być może?

— Bił ją, poniewierał, deptał nogami. Pamiętam owe noce, kiedy wracał do domu oszalały. Matka milczała zawsze i czyniła, co chciał. On zaś bił ją tak, że serce mi omal nie pękło. Nakrywałam głowę kołdrą i udawałam, że śpię, ale płakałam strasznie. Gdy ją zbił i rzucił o ziemię, zmieniał się nagle, podnosił i całował z taką dzikością, że krzyczała z obawy, iż ją zadusi. Zabroniła mi mówić o tym, ale przejścia te do tego stopnia podkopały jej zdrowie, że, mimo iż ojciec od lat całych nie żyje, matka dotąd nie może odzyskać sił. Gdyby zmarła, wiedziałabym, kto ją zamordował.

Mały księżunio potrząsał głową, niepewny, co ma rzec swej penitentce<sup>15</sup>. Po chwili powiedział:

— Przebac mu, jak przebaczyła matka twoja. Nie przywódź sobie, Laurello, ciągle na myśl tych smutnych obrazów. Nadejdą dla ciebie lepsze czasy i zapomnisz o przeszłości.

— Nigdy tego nie zapomnę! — zawołała, drgnąwszy gwałtownie. — Oto powód, czcigodny *padre*, dlaczego chcę pozostać dziewicą i nie podlegać nikomu, kto by mną poniewierał, by potem całować. Dziś mogę się obronić przed każdym, który by mnie chciał bić i całować, ale biedna moja matka nie mogła bronić się przed biciem ani pocałunkami, bo go kochała. Ja zaś nie chcę nikogo kochać do tego stopnia, bym przezeń miała zachorzeć i popaść w nieszczęście.

— Nie jesteś już dzieckiem, Laurello — powiedział ksiądz — a mówisz jak ktoś, kto zgoła nie zna spraw świata. Czyż wszyscy mężczyźni, podobnie jak twój biedny ojciec, ulegają każdej zachciance czy namiętności i źle się obchodzą ze swymi żonami? Czyż nie spotkałaś w sąsiedztwie uczciwych mężczyzn i kobiet, żyjących ze sobą zgodnie, cicho i przykładowo?

— Nikt nie wiedział — odparła — jak się ojciec mój obchodzi z matką, gdyż wołałaby raczej umrzeć niż skarżyć się i narzekać. Kochała go i dlatego znosiła wszystko. Tak się dzieje zawsze. Miłość zamyka usta, które winny by krzyczeć ratunku, miłość obezwładnia wobec zła gorszego od tego, jakiego by doznać można od wroga, i dlatego nigdy nie oddam mego serca mężczyźnie!

— Mówisz, jak mówić zwykło nieświadome życia dziecko. Serce twe nie będzie się wcale pytało o przyzwolenie, gdy nadejdzie czas miłości. Wówczas nie pomogą najsilniejsze postanowienia. — Zamilkła, a po chwili spytał: — Czyś miała powód przypuszczać, że malarz ów obchodziłby się źle z tobą?

— W oczach miał ten sam wyraz, co ojciec, gdy przeproszał matkę, obejmował ramionami i mówił słodkie słowa. Znam te oczy, tak patrzy ten, kto jest w stanie krzywdzić niewinną kobietę. Dreszcz mnie przebiegał na widok tych oczu.

Zamilkła, a ksiądz również się nie odzywał. Przychodziły mu na myśl różne piękne sentencje, jakimi by mógł zbudować dziewczynę. Ale obecność młodego przewoźnika, który pod koniec spowiedzi stał się jakiś niespokojny, zamykała mu usta.

Po dwugodzinnej jeździe znaleźli się w małej przystani Capri, a Antonio wyniósł księdza z barki i, przebrnąwszy z nim zalaną małymi falami przestrzeń wybrzeża, postawił go na suchym lądzie gestem pełnym szacunku. Laurella nie czekała, aż po nią wróci. Zakałała spódnicę, wzięła w prawą rękę drewniane saboty, w lewą zawiniątko i przepawiła się co żywo na brzeg.

— Dzisiaj zostaną dłużej na Capri — rzekł ksiądz — toteż nie czekaj na mnie, Antonino. Może nawet aż jutro powrócę. Pozdrów ode mnie matkę twą, Laurello, i powiedz, że jeszcze w tym tygodniu ją odwiedzę. Wrócisz pewnie jeszcze przed nocą do domu, prawda?

— Jeśli nadarzy się okazja! — odrzekła, poprawiając coś koło stanika.

Ojciec, Matka, Rodzina,  
Przemoc

Miłość, Kobieta,  
Mężczyzna, Przemoc,  
Rodzina, Krzywda

<sup>15</sup>*penitentka* — w Kościele katolickim osoba przystępująca do spowiedzi. [przypis edytorski]

— I ja też muszę dziś wracać, Laurello — powiedział Antonino tonem, jak mu się wydawało, nader obojętnym — zaczekam na ciebie aż do wieczornego *Ave*<sup>16</sup>. Jeśli nie przyjdiesz, to sobie sam pojedę.

— Jedź z nim, Laurello! — Nie powinnaś zostawiać matki samej na noc. Czy daleko idziesz?

— Na Anacapri<sup>17</sup>, do jednej z winnic.

— Ja zaś udaję się na Capri. Niech cię Bóg strzeże, dziecko, i ciebie także, chłopcze!

Laurella pocałowała księdza w rękę i rzuciła pozdrowienie tego rodzaju, że mogli się nim obaj podzielić. Ale Antonino nie brał go do siebie. Zdjął przed księdzem czapkę, na Laurellę zaś nawet nie spojrział.

Gdy się doń jednak obróciła plecami, oczy Antonina pobiegły na krótką tylko chwilę za czcigodnym proboszczem, gramolącym się z trudem po grubym żwirze i skałach w górę, natomiast zapatrzyły w dziewczynę, pnącą się po stromym zboczu, z dłonią u czoła, osłaniającą twarz przed ostrym światłem słońca. U wnijscia na drogę, ujętą w dwa równoległe mury skalne, przystanęła dla zaczerpnięcia oddechu i obejrzała się. U stóp jej leżała przystań, wkoło piętrzyły się prostopadłe skalne ściany, w dali błękitniało przecudne morze. Widok był naprawdę godny spojrzenia. Przypadek zrządził, że oczy jej, mijając barkę Antonina, zetknęły się z oczyma chłopca, zapatrzonymi w nią. Uczynili oboje gest, jakby chcieli wzajem wyrazić, że zaszła omyłka, po czym Laurella ruszyła dalej, a twarz jej miała wyraz ponurej zaciętości.

\*

Była dopiero pierwsza po południu, a już od dwu godzin Antonino siedział na ławie przed gospodą rybacką i czekał. Musiało coś tkwić uporczywie w jego myślach, bo zrywał się co pięć minut, wychodził na słońce i badał troskliwie jedną po drugiej wszystkie ścieżki, wiodące w prawo i w lewo do obu wyspiarskich miasteczek. Potem, zwracając się do gospodyni osterii<sup>18</sup>, powiedział, że pogoda wydaje mu się mocno wątpliwa. Niebo jest co prawda czyste, ale posiada, równie jak morze, barwę dobrze mu znaną. Zupełnie tak samo wyglądało przed ostatnią wielką burzą, która omal nie pochłonęła całej rodziny podróżnych Anglików. Spytał, czy to pamięta.

— Nie! — odrzekła kobieta.

— Ano to wspomnijcie o mnie, jeśli się pod wieczór okaże, że miał rację! — powiedział.

— Czy macie dużo gości? — spytała po chwili gospodyni.

— Zaczynają się zjeżdżać! — odparł. — Dotąd biedowaliśmy bardzo. Kuracjusze, a zwłaszcza ci, którzy mieli brać kąpiele morskie, kazali na siebie długo czekać tego roku.

— Wiosna się spóźniła. Czy lepszeście mieli zarobki niż my na Capri?

— Nie starczyłoby na dwie porcje makaronu tygodniowo, gdybym miał żyć tylko z tego, co daje barka. Od czasu do czasu trafi się przywieźć list do Neapolu albo powozic po morzu jakiegoś *signora*, który chce łapać ryby na wędkę, i na tym koniec. Wiecie może, że wuj mój jest właścicielem wielkich sadów pomarańczowych i nazywają go bogaczem. „Tonino, powiedział mi, jak długo żyję, na niczym ci nie będzie zbywać, a i potem przyszłość twoja będzie zapewniona”. Przetrwalem tedy wcale dobrze zimę.

— Czy wuj wasz ma dzieci?

— Nie. Jest kawalerem, a w długich podróżach za granicą zebrał sporo piastrów<sup>19</sup>. Teraz zamierza urządzić wielkie przedsiębiorstwo, rybolówcze, mnie zaś uczyni zarządcą, bym pilnował wszystkiego.

— Jesteście tedy pan całą gębą, Antonino.

Młody żeglarz wzruszył ramionami i odparł, że każdy ma swą porcję utrapienia. Potem zerwał się i, patrząc w prawo i lewo, badał stan pogody, chociaż musiał chyba wiedzieć, że burza od jednej tylko strony zwykła nadciągać.

<sup>16</sup>*Ave*, właśc. *Ave Maria* (łac.) — *Zdrowaś Mario* a. *Pozdrowienie anielskie*, modlitwa za wstawiennictwem Marii, Matki Jezusa. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*Anacapri* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol, na wyspie Capri. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*osteria* — karczma, oberża, zajazd, gospoda, gościniec. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*piastr* — drobna moneta, będąca w obiegu w Egipcie, Libanie i Syrii. [przypis edytorski]

— Przyniosłam jeszcze jedną flaszkę. Wują waszego stać na zapłatę! — powiedziała gospodyni.

— Szklanka wystarczy! — odrzekł. — To jakieś mocne wino. Już je czuję w głowie.

— Nie wzburza ono krwi. Możecie pić do woli. Nadchodzi właśnie mój mąż, z którym musicie pogwarzyć bodaj chwilę.

W istocie zbliżał się, schodząc ze skalnych wyżyn, *padrone*<sup>20</sup> szynkowni<sup>21</sup>, w czerwonej czapce na krętych włosach, z siecią przewieszoną przez ramię. Nosił do miasta ryby, zamówione przez ową dostojną damę, u której gościł właśnie mały proboszcz sorrentyński. Ujrawszy młodego żeglarza, przesłał mu ręką serdeczne powitanie, potem usiadł obok niego na ławie i zaczął pytać i opowiadać. Właśnie gospodyni przyniosła drugą butelkę prawdziwego, niefalszowanego wina kapryjskiego, gdy nagle zaskrzypiał od lewej strony piasek wybrzeża i ukazała się Laurella, idąca z Anacapri. Skinęła lekko głową i zatrzymała się niepewna, co czynić.

Antonino wstał szybko i powiedział, że musi odjeżdżać, bo ma zawieźć do Sorrento tę dziewczynę, która przybyła rano z *padre curato*, a teraz wraca do chorej matki.

— Jeszcze bardzo daleko do wieczora! — zauważył gospodarz. — Może się i ona śmiało napić wina. Hej, żono, przynieś no jeszcze jedną szklankę.

— Dziękuję, nie pijam nigdy! — odparła Laurella, trzymając się na uboczu.

— Nalej no, żono, nalej! Robi tylko ceregiele.

— Dajcie spokój! — rzekł Antonino. — To uparte stworzenie, gdy czegoś nie chce, sam święty z nią nie poradził! — Powiedziawszy to, pożegnał pośpiesznie gospodarzy, zbiegł na dół ku barce, odwiązał linę i stanął u brzegu, czekając na dziewczynę. Laurella pożegnała skinieniem głowy szynkarza i jego żonę, po czym zbliżyła się z wahaniem, rozglądając się na wszystkie strony, jakby miała nadzieję, że nadarzy się jeszcze jakiś trzeci uczestnik podróży. Ale przystań była niemal pusta, rybacy spali albo wyruszali na połów z wędkami i sieciami, pod drzewami domostw siedziały dzieci i kobiety, śpiąc lub przędąc, zaś cudzoziemcy, którzy przybyli rankiem, czekali z powrotem na chłodniejszą porę dnia. Dziewczyna niedługo mogła się rozglądać, bo Tonino chwycił ją w ramiona i zaniósł jak dziecko do łodzi. Potem wskoczył sam i po kilku ruchach wiosła znaleźli się na pełnym morzu.

Siadła na przodzie barki, obróciwszy się doń tak, że widział ją jeno<sup>22</sup> z profilu. Rysy jej twarzy poważniejsze były jeszcze niż zazwyczaj, czarne włosy spadały nisko na czoło, a delikatny nos i zaciśnięte usta wyrażały upór i zapamiętałość. Jechali przez czas jakiś w milczeniu, a Laurella, poczuwszy, że słońce ją pali w głowę, wyjęła z zawiniątka chleb i chustką okryła warkocze. Potem zaczęła jeść chleb. Był to jej cały obiad, a od rana nic nie miała w ustach.

Antonino nie mógł na to długo patrzeć. Wyjął z jednego z koszy, pełnych rano, dwie pomarańcze, podał jej i rzekł:

— Masz do chleba, Laurello! Nie sądzę, żem je schował umyślnie dla ciebie. Stoczyły się z kosza do łodzi, a znalazłem je, wracając z targu.

— Zjedz sam! — odparła. — Mnie dosyć chleba.

— Orzeźwią cię w tym gorącu, a zmęczyłaś się daleką drogą.

— Dostałam szklankę wody i orzeźwiłam się już.

— Jak chcesz! — powiedział i cisnął owoce do kosza.

Zapadło znowu milczenie. Morze było gładkie jak zwierciadło, a woda szumiała z lekka tylko u steru barki. Gnieźdzące się w skałach nadbrzeżnych ptaki drapieżne przemykały bezgłośnie za łupem.

— Mogłabyś te dwie pomarańcze zanieść matce, Laurello! — zaczął na nowo.

— Mamy jeszcze trochę w domu, a gdy ich zabraknie, kupię świeżych.

— Weźże, proszę cię, i zanieś z pozdrowieniem ode mnie.

— Nie zna cię przecież.

— To powiedz jej, kto jestem.

— Ja cię również nie znam wcale.

Nie pierwszy to już raz zapierała się znajomości z nim. Zdarzyło się przed rokiem,

<sup>20</sup>*padrone* (wł.) — właściciel. [przypis redakcyjny]

<sup>21</sup>*szynkownia* a. *szynk* (daw.) — podrzędna restauracja lub bar z alkoholem. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*jeno* (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

właśnie wówczas, kiedy przybył do Sorrento ów malarz neapolitański, że Antonino zabawiał się pewnej niedzieli ze swymi towarzyszami grą zwaną *boccia* na placu tuż obok głównej ulicy miasta. Tam to malarz ujrzał po raz pierwszy Laurellę, idącą z dzbanem wody na głowie i niezwracającą na nikogo uwagi. Uderzony tym widokiem, stanął, zapatrzył się w nią, nie bacząc, że znajduje się w samym środku placu gry, chociaż dwoma krokami mógł wyjść poza krąg grających. Nagle potrąciła go silnie w kostkę jedna z kul, przypominając, że nie jest to miejsce odpowiednie do medytacji. Młody żeglarz, który ją rzucił, stał milcząc w tak wyzywającej postawie pośród towarzyszy, że cudzoziemiec uznał za stosowne unikać sprzeczeki i odszedł. O zajściu tym mówiono jednak po trochu, a przyszło ono wszystkim ponownie na pamięć, gdy malarz zaczął się jawnie starać o rękę Laurelli. Gdy pytał, czy mu odmawia z powodu owego niedorzecznego chłopaka, oświadczyła z niechęcią, że go wcale nie zna. O zajściu tym musiała jednak słyszeć i, spotkawszy Antonina, poznała go chyba z łatwością.

Siedzieli w barce jak dwoje wrogów, a obojgu biły serca gwałtownie. Dobrotliwe zazwyczaj oblicze Antonina pałało gorącym rumieńcem. Bił wiosłami w fale, tak że piana oblewała go całego, a wargi mu drżały, jakby miotał kłątwy. Ona udawała, że niczego nie dostrzega, przybrała obojętny wyraz, wychyliła się przez burtę i puszczała wodę przez palce. Potem zdjęła chustkę i poprawiła włosy, jakby sama znajdowała się w barce. Drżały jej tylko brwi i daremnie chłodziła mokrymi dłońmi pałające policzki.

Znajdowali się na pełnym morzu, a wokół, jak wzrok sięgał, nie było widać żagla. Wyspę zostawili daleko za sobą, wybrzeże, skąpane w słońcu, majaczyło w oddali, w pustce, jaka ich otaczała, nie jawiła się nawet mewa. Antonino obejrzał się wokoło. Myśl jakaś opanowała go widocznie, bo zbladł nagle i opuścił wiosła: Mimo woli Laurella spojrzała nań z zaciekawieniem, ale bez śladu trwogi.

— Muszę z tym wszystkim raz skończyć — wybuchnął chłopak. — Trwa to za długo i dziwię się, żeś dotąd wytrzymał i nie szczeł marnie. Powiadasz, że mnie nie znasz? Czyżeś mi się nie dość jeszcze napatrzyła, gdym krążył wkoło ciebie, pragnąc wypowiedzieć, co mam w sercu. Zawsześ jednak robiła odpychające miny i obracałaś się do mnie plecami.

— Cóż miałam z tobą do gadania? — odparła. — Widziałam wprawdzie, że chcesz się ze mną zapoznać, ale nie miałam nigdy ochoty dostać się na języki ludzkie, i to bez żadnej podstawy. Nie chcę zostać twoją żoną i w ogóle nie chcę wcale za męża wychodzić.

— Nie chcesz? Tak sądzisz teraz może, ale to nie potrwa długo! Cóż stąd, żeś odesłała z kwitkiem malarza? Byłaś wtedy dzieckiem. Samotność da ci się jeszcze we znaki, a że jesteś szalona, weźmiesz pierwszego lepszego.

— Nikt nie zna swojej przyszłości — odparła — więc, być może, zmienię zapatrywania. Cóż to jednak może obchodzić ciebie?

— Cóż mnie to obchodzi? — krzyknął i zerwał się z ławki sterniczej tak, że łódź zachwiała się gwałtownie. — Czyż możesz tak mówić, widząc, co się ze mną dzieje? Zabiłbym każdego, komu okazałabyś więcej łaski niż mnie!

— Skądże to prawo? Czym ci się przyobiegała? Czyżem winna, że ci się przewróciło w głowie?

— O — zawołał — nie spisał tych praw po łacinie żaden adwokat i nie opatrzył ich pieczęcią, wiem jednak, że mam do ciebie tyle prawa, co do nieba, gdzie się dostanę, jeśli będę wiódł żywot uczciwy. Czy sądzisz, że będę patrzył spokojnie, jak pójdiesz z innym do ołtarza, że pozwolę, by dziewczęta, mijając mnie, wzruszały ramionami? Czy sądzisz, że zniosę tę hańbę?

— Rób, co chcesz! Nie dam się zastraszyć i zrobię również, co zechcę.

— Niedługo tak będziesz mówiła! — zawołał, drżąc na całym ciele. — Jestem na tyle mężczyzną, by nie pozwolić sobie zepsuć życia przez upartą dziewczuchę. Czy wiesz, że jesteś tu w mojej mocy i musisz uczynić, co zechcę?

Drgnęła lekko i błysnęła ku niemu oczyma.

— Zabij mnie, jeśli śmiesz! — powiedziała z wolna.

— Nie należy niczego czynić połowicznie! — odparł chrapliwym głosem. — Dość miejsca w morzu dla nas obojga! Nie ma rady, dziecko — powiedział tonem litosnym niemal i jakby przez sen — musimy się tam znaleźć oboje razem i to natychmiast! — Krzyknął przeraźliwie i chwycił ją oburącz. Ale w tejże chwili cofnął prawą rękę, gdyż uczuł straszliwe ukąszenie.

Przemoc



— Pokaże się, czy muszę zrobić, co chcesz! — zawołała, odtrącając go od siebie. — Pokaże się, czy jestem w twojej mocy! — To rzekłszy, skoczyła z łodzi i znikła momentalnie w głębinie.

Wypłynęła zaraz na powierzchnię. Spódnica owinęła się wkoło jej ciała, włosy, rozplecione przez fale, spływały po karku. Silnie pracowała ramionami, kierując się w stronę wybrzeża. Nagły strach obezwładnił go i odebrał zmysły. Stał w barce, pochylony naprzód, ze wzrokiem tępo w nią utkwionym, jakby patrzył na cud. Potem wstrząsnął się, pochwyił wiosła i pchnął łódź z całą siłą w jej kierunku, nie bacząc, że krew spływa ze skaleczonej ręki, barwiąc dno łodzi.

Mimo że dziewczyna płynęła szparko, za chwilę znalazł się u jej boku.

— Na Madonnę, błagam cię — zawołał — wróć do łodzi! Byłem szaleńcem. Bóg wie, co mi omroczyło zmysły. Piorun spadł z nieba, mózg mi poraził i nie wiedziałem, co czynię i mówię. Nie chcę nawet, byś mi przebaczyła, Laurello, pragnę tylko ocalić twoje życie. Wracaj do łodzi!

Płynęła, jakby nie słyszała słów jego.

— Nie dopłyniesz, bo jeszcze dwie mile do brzegu! — zawołał znowu. — Wspomnij swoją matkę. Umarłbym z przerażenia, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście.

Zmierzyła spojrzeniem odległość wybrzeża, potem, nie odpowiadając wcale, skierowała się ku barce i chwyciła się jej rękami. Wstał, by jej pomóc. Kaftan jego, leżący na ławce, zsunął się w wodę w chwili, gdy łódź, obciążona jednostronnie ciężarem wsiadającej dziewczyny, pochyliła się na bok. Laurella wspięła się zręcznie i po chwili zajęła poprzednie swe miejsce. Widząc, że jest bezpieczna, chwycił za wiosła, ona zaś wyciskała wodę z odzieży i włosów. Spojrzenie jej padło na dno łodzi i zobaczyła krew. Rzuciła szybko oczyma na jego rękę, władającą wiosłem, jakby wcale nie była skaleczona.

— Masz! — rzekła, podając mu chustkę.

Potrząsnął tylko głową i wiosłował dalej. Wstała, przystąpiła do niego i przewiązała mu rękę, w której była głęboka rana. Potem wzięła mimo oporu jedno wiosło, siadła naprzeciw i nie patrząc nań, lecz na okrwawione wiosło, dopomagała silnymi pchnięciami pędzić barkę. Oboje byli błądzi i niemi. Gdy się zbliżyli do wybrzeża, napotkali rybaków, zakładających na noc sieci. Wołali Antonina i przekomarzali się z Laurellą. Żadne jednak nie odpowiadało słowem.

Słońce stało dość wysoko jeszcze nad Procida<sup>23</sup>, kiedy dotarli do przystani. Laurella wyglądała, jak mogła, sukienkę, która niemal całkiem wyschła na morzu, i wyskoczyła na brzeg. Stara babunia, która patrzyła rano na ich odjazd, stała znowu z wrzecionem na płaskim dachu.

— Cóż ci to w rękę, Tonino? — spytała. — Jezus, Maria, w barce krew!

— To nic, *comare*<sup>24</sup> — odparł chłopak — skaleczyłem się o sterczący gwóźdź. Jutro będzie po wszystkim. Ta przekłeta krew tryska z byle przyczyny i wszystko zaraz wygląda gorzej, niż jest naprawdę.

— Przyłożę ci ziół, *comparello*<sup>25</sup> — powiedziała. — Czekać, idę już!

— Nie trudźcie się, *commare!* Rana przewiązana, a jutro śladu po niej nie będzie. Mam zdrowe ciało i wszystko goi się w okamgnieniu.

— *Addio*<sup>26</sup>! — powiedziała Laurella i zwróciła się ku ścieżce, wiodącej w górę.

— Dobranoc! — odrzyknął, nie patrząc na nią wcale. Potem wyniósł z barki narzędzia oraz puste kosze i poszedł kamiennymi schodami ku swojej chacie.

\*

Nie było nikogo w dwu stacyjkach, po których się przechadzał. Przez otwarte okienka, na noc tylko okiennicami zawierane, płynął wiew rzeświejszy niż na morzu. Czuł się dobrze w samotności. Przez chwilę wpatrywał się z nabożeństwem w obrazek Matki Boskiej, otoczonej glorią gwiazd z posrebrzanego papieru, ale mu nie przyszła do głowy żadna modlitwa. O coż miał prosić i za co dziękować, utraciwszy całą nadzieję?

<sup>23</sup> *Procida* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol; także wyspa na Morzu Tyrreńskim. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *commare* a. *comare* (wł.) — kum, kuma. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup> *comparello* a. *compare* (wł.) — kum. [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup> *addio* (wł.) — żegnam, żegnaj. [przypis edytorski]

Dzień stanął, zda się. Tęsknił za ciemnością, czuł bowiem wielkie znużenie, a utrata krwi była dotkliwsza, niż mu się zrazu wydawało. Ręka bolała go bardzo, toteż, usiadłszy na stołku, zdjął opatrunek. Zatamowana uciskiem krew popłynęła znowu, a wokół rany ukazała się puchlina. Obmył ją starannie i długo chłodził wodą. Wydobywszy rękę z wody, ujrzał ślady zębów Laurelli. Przyznał, że postąpiła dobrze, gdyż zachował się jak dzikie zwierzę. Postanowił odesłać chustkę nazajutrz przez Giuseppa, sam zaś nie chciał jej się pokazywać na oczy. Wyprał chustkę starannie i rozłożył na słońcu, założywszy wprzód na ranę świeży opatrunek przy pomocy lewej ręki i zębów. Potem rzucił się na łóżko i zamknął oczy.

Promień księżyca zbudził go z półsnu. Jednocześnie uczuł ból w ręce. Zerwał się, chcąc uspokoić zimną wodą pulsowanie krwi, gdy nagle posłyszał szmer u drzwi. Spytał, kto to, i otwartszy zobaczył przed sobą Laurellę.

Weszła, nie pytając o nic. Zdjęła chustkę, którą osłoniła w drodze głowę, i postawiła na stole mały koszyczek. Potem odetchnęła głęboko.

— Przychodzisz pewnie po chustkę — powiedział — ale mogłaś sobie oszczędzić trudu, bo postanowiłem zaraz jutro rano prosić Giuseppa, by ci ją odniósł.

— Nie przyszłam po chustkę! — odparła żywo. — Byłam w górach po zioła tamujące krew! Przyniosłam je. — Rzekłszy to, podniosła pokrywkę koszyczka.

— Zbyt wieleś sobie zadała trudu — powiedział zgoła bez goryczy. — Już mi lepiej, dużo lepiej! A gdyby nawet było gorzej, to słusznie by mi się to należało. Po cóżeś przyszła tutaj nocą? Może ktoś zobaczyć. Wiesz, jak ludzie plotkują, chociaż nie mają powodu.

— Nic sobie z nich nie robie! — wybuchnęła. — Dajże rękę, muszę przyłożyć zioła, bo lewą nie zdołasz tego zrobić.

— Mówię ci, że to zbyteczne.

— Pokaż tedy, bym się przekonała.

Wzięła rękę, która nie mogła się bronić, i odwiązała opaskę. Ujrawszy puchlinę, wstrząsnęła się i mimo woli krzyknęła: — Jezus, Maria!

— Trochę napuchło! — powiedział. — Ale w ciągu jednego dnia i nocy wszystko minie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przez tydzień nie będziesz mógł wiosłować.

Przyniosła miskę i na nowo przemyła ranę, czemu się poddał jak dziecko. Potem przyłożyła zioła, które złagodziły palący ból, i przewiązała ranę czystym płótnem, także przyniesionym.

Gdy wszystko było skończone, Antonino powiedział:

— Dziękuję ci. Uczyni mi łaskę, przebac to szaleństwo, jakiego się dziś dopuściłem, i zapomnij o wszystkim, com mówił i czynił. Sam nie wiem, jak się to stało. Nie dałaś nigdy powodu do tego, naprawdę nigdy. Odtąd nie doznasz z mej strony niczego, co by ci być mogło przykre.

— To ja winnam cię przeprosić! — powiedziała żywo. — Trzeba ci było wszystko wyjaśnić dokładnie i wyraźnie, nie zaś doprowadzać do wzburzenia milczeniem. W dodatku ta rana...

— Broniłaś się przed niebezpieczeństwem i przez to zresztą w ostatnim momencie odzyskałem zmysły. Jak wspomniałem, jest to drobnostka. Nie mów o przepraszaniu. Dobrze się stało. Idźże teraz spać... a zabierz sobie także swą chustkę.

Podał jej chustkę, ona jednak nie ruszyła się z miejsca. Walczyła ze sobą. Po chwili rzekła:

— Straciłeś także kaftan, a wiem, że były w nim pieniądze za sprzedane pomarańcze. Przyszło mi to na myśl, gdy wracała do domu. Nie mogę ci ich zwrócić, gdyż nie mamy nic, a gdyby nawet były pieniądze, to potrzebne są matce. Ale mam srebrny krzyżyk, który malarz za ostatnią bytnością położył mi na stole. Nie brałam go do ręki i nie chcę go dłużej chować w szkatułce. Sprzedaj go, a kilka piastrow, jakie dostaniesz, wyrówna po części stratę. Resztę postaram się zarobić nocami przedzeniem, gdy matka zaśnie.

— Nie wezmę niczego! — powiedział twardo, odsuwając błyszczący krzyżyk, który dobyła z kieszeni.

— Musisz go wziąć! — zawołała. — Długo nie będziesz mógł pracować chorą ręką. Masz, weź, ja nań patrzeć nie chcę.

Bieda, Kondycja ludzka,  
Pozycja społeczna, Pieniądz

— Rzuć go w morze.  
— To nie jest żaden podarek. Słusznie ci się należy wynagrodzenie poniesionej straty.  
— Nic mi się od ciebie nie należy. Gdybyśmy się jeszcze mieli spotkać, proszę cię, nie patrz na mnie, bo to by mi przypominało moją winę. No, a teraz dobranoc, idź już do domu.

Włożył do koszyka chustkę i krzyżyk i nakrył wieczkiem. Spojrzawszy potem w jej twarz, przeraził się. Wielkie, ciężkie łzy toczyły się po jej policzkach. Nie starała się ich nawet powstrzymać.

— *Maria santissima!* — zawołał. — Czyś chora? Drżysz na całym ciele.

— To nic! — odrzekła. — Idę już!

Postąpiła chwiejnie ku drzwiom. Ale płacz ją obezwładnił, oparła czoło o ścianę i łkała głośno i gwałtownie. Zanim zdołał przystąpić i podtrzymać ją, obróciła się nagle i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Nie mogę znieść, byś do mnie tak mówił! — zawołała, przyciskając się doń i czepiając się go, jak konający czepia się życia. — Nie mogę odejść z taką winą na sumieniu. Bij mnie, kop, przeklinaj! Albo jeśli po tym wszystkim, com ci zrobiła, kochasz mnie jeszcze, weź mnie, zrób, co ci się podoba, uczyni mnie swą kochanką, tylko mnie nie wypędzaj od siebie!

Wybuchnęła ponownie straszliwym łkaniem.

Trzymał ją przez chwilę bez słowa w ramionach, potem zawołał:

— Czy cię jeszcze kocham? Sądziś, że przez tę małą ranę spłynęła cała krew z mego serca? Nie czujesz, jak tętni to serce moje, pożądając ciebie? Jeśli tak mówisz, by mnie doświadczyć, lub jeśli to czynisz przez litość, to idź, a ja spróbuję i to jeszcze zapomnieć. Nie sądzi, że jesteś moją dłużniczką dlatego, że cierpię przez ciebie.

— Nie! — powiedziała, podnosząc głowę z jego ramienia i spoglądając mu poważnie w oczy. — Kocham cię od dawna, tylko bałam się tego uczucia i chciałam je przetrwać. Teraz stanę się inna, nie wytrzymam, by nie spojrzeć na ciebie, gdy się spotkamy na ulicy. Pocałuję cię teraz, byś mógł, czując wątpliwość, powiedzieć sobie: pocałowała mnie, a Laurella całuje tylko tego mężczyznę, którego chce mieć mężem.

Pocałowała go trzy razy, potem zaś wysunęła się z jego ramion i powiedziała:

— Bądź zdrow, ukochany mój. Połóż się teraz spać i lecz swą rękę. Nie odprowadzaj mnie, bo nie boję się nikogo prócz ciebie.

Powiedziawszy to, wymknęła się i znikła w cieniu muru, on zaś wyglądał długo jeszcze oknem na morze, ponad którym połyskiwały gwiazdy, drżąc jakby i chwiejąc się.

*Padre curato*, wychodząc następnym razem z konfesjonału, przy którym długo klęczała Laurella, uśmiechnął się i powiedział do siebie:

„Któż by pomyślał, że Bóg tak rychło ulituje się nad tym biednym i dziwnym sercem. Czyniłem sobie wyrzuty, że nie zwalczałem w niej silniej demona uporu. Ale oczy nasze nie zdołają przeniknąć dróg boskich. Niechże ją Pan ma w swej opiece, a mnie pozwoli doczekać, by mnie kiedyś najstarszy syn Laurelli w zastępstwie ojca wiozł jego barką po morzu. Aj... aj... aj... *L'Arrabbiata!*”.

Łzy

Miłość, Pocałunek, Miłość  
spełniona

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heyse-larrabiata/>

Tekst opracowany na podstawie: Paul Heyse, *Wesele na Capri*. Nowele włoskie, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: *Włoszka z Procidy koło Neapolu*, Tytus Maleszewski (1827–1898), domena publiczna

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do *Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur* i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).